

*[...] to najmniejszy, położony na uboczu kraj Świata Wynurzonego. Usytuowany jest na zachodzie, z jednej strony otacza go Saar, Wielka Rzeka, zaś z drugiej zagraża mu Wielka Kraina. Nie da się znaleźć punktu, z którego nie widać by było najwyższej wieży Twierdzy, siedziby Tyrana. RzUCA ona cień, niczym ponurą groźbę, na życie wszystkich mieszkańców okolicy. Przypomina każdemu, że nie ma takiego miejsca, gdzie Tyran nie byłby w stanie dotrzeć. Królestwo to jednakże jest jeszcze częściowo wolne.*

Coroczne sprawozdanie Rady Czarodziejów,  
fragment

*Krainę Wiatru wyróżnia szczególna architektura jej miast, wznoszących się niczym olbrzymie wieże, wysoce zorganizowanych i w dużym stopniu samowystarczalnych. Każda część owych miejskich skupisk ma swoją ściśle określoną funkcję. Centrum każdej z wież stanowi obszerna i otwarta część środkowa przeznaczona pod uprawy. Miasto-wieża Salazar to ostatni przyczółek Krainy Wiatru przed Puszcza, ogromnym lasem wyznaczającym granicę z Krainą Skał [...].*

Anonimowe pismo z zaginionej Biblioteki miasta Enawar,  
fragment



## 1.

# *Salazar*

Nizinę zalewały promienie słoneczne. Była to szczególnie łaskawa jesień: trawa wciąż jeszcze miała kolor żywej zieleni i delikatnie falowała przy murach miasta jak morze podczas flauty.

Na samym szczycie wieży Nihal rozkoszowała się porannym wiatrem. Taras ten stanowił najwyżej położone miejsce w całym Salazarze: stąd można było napawać się najlepszym widokiem na równinę rozciągającą się hen, jak okiem sięgnąć, na całe mile. To pośród tej rozległej przestrzeni wznosiło się jej miasto, górujące pięćdziesięcioma piętrami domów, sklepików i stajni. Jedna olbrzymia wieża, mierząca tysiąc dwieście łokci, mieściła w sobie małą metropolię, w której tłoczyło się piętnaście tysięcy mieszkańców.

Nihal lubiła przebywać tam, na górze, sama, kiedy lekki wietrzyk plątał jej niezwykle długie włosy. Siadała na kamieniach ze skrzyżowanymi nogami, z zamkniętymi oczami i z drewnianym mieczem opartym przy boku, tak jak to czynią starzy wojownicy. Kiedy była tam, na samym szczycie wieży, czuła, jak przepelnia ją spokój. Mogła skoncentrować się wyłącznie na sobie samej, na swoich najbardziej ukrytych myślach, na owej mglistej melancholii, która nieraz ją ogarniała, na leniwym pomruku, który co jakiś czas podnosił się z głębi jej duszy.

To jednak nie był jeden z tych dni. Był to dzień bitwy i Nihal patrzyła na nizinę jak spragniony walki przywódca.

Było ich mniej więcej dziesięcioro, dzieciaki od dziesięciu lat wzwyż. Sami chłopcy, tylko ona jedna dziewczyna. Wszyscy siedzieli, a ona stała pośród nich. Oto wódz: wąta i smukła dziewczynka o żywych fioletowych oczach, miękko opadających włosach z granatowym połyskiem i nieproporcjonalnych spiczastych uszach. Wcale nie wyglądała na szczególnie silną, ale pozostali spijali z jej ust każde słowo.

– Dzisiaj walczymy o porzucone domy. Panoszy się tam mnóstwo Famminów. Nic o nas nie wiedzą i nie spodziewają się naszego przybycia: zaskoczymy ich i przepędzimy siłą naszych mieczy.

Chłopcy słuchali uważnie.

– Jaki jest plan? – spytał najpulchniejszy z nich.

– Zejdziemy zwartym szykiem na piętro nad sklepami, a potem skrótem przez kanały konserwacyjne za murami. Zajdziemy ich od tyłu: jeśli nas nie usłyszą, będzie to pestka. Ja pójdę na czele grupy, za mną – drużyna atakująca. – Kilku chłopców przytaknęło pewnie. – Dalej łucznicy. – Trójka dzieciaków z procami w dłoniach kiwnęła głowami na znak porozumienia. – A na końcu piechota. Jesteście gotowi?

– Tak! – Rozległ się entuzjastyczny chór.

– No to idziemy!

Nihal podniosła wysoko miecz i rzuciła się na dół przez klapę prowadzącą z tarasu do wieży, a za nią reszta drużyny.

Chłopcy maszerowali zwarci korytarzami przebiegającymi przez wewnętrzny krąg Salazaru, wśród rozbawionych – choć częściej poirytowanych – spojrzeń mieszkańców miasta, którzy doskonale znali heroiczne bitwy Nihal i jej bandy.

– Dzień dobry, generale.

Nihal odwróciła się. Głos pochodził od istoty mniej więcej jej wzrostu, dość krępej, z twarzą całkowicie pokrytą gęstą brodą. Gnom. Wykonał zabawny ukłon.

Nihal dała chłopcom znak, żeby się zatrzymali, i sama również się skłoniła.

– Dzień dobry.

– Dzisiaj również w pogoni za wrogiem?

– Jak zawsze. Dzisiaj musimy przegonić z Wieży Famminów.

– Właśnie, jak zawsze... Ja jednak na twoim miejscu, w obecnych czasach, nie wymawiałbym tej nazwy z taką beztróską. Nawet dla zabawy.

– My się nie boimy! – wrzasnął jeden ze stojących dalej chłopców.

Nihal uśmiechnęła się zuchwale.

– No właśnie, nie boimy się. A poza tym, czym się martwisz? Nikt nie lubi Famminów, a tak czy inaczej Kraina Wiatru jest jeszcze wolna.

Gnom zachichotał i puścił do niej oczko.

– Rób, jak uważasz, generale. Miłej bitwy.

Po kolei przemierzali różne poziomy wieże, maszerując rytmicznym krokiem, zwarci niczym prawdziwi żołnierze. Przechodzili obok domów i sklepików, wśród chaosu ras i języków mieszkańców Salazaru, zataczając kręgi po kolejnych piętrach, a słońce w regularnych odstępach całowało ich przez okna otwarte na śródmiejski ogród. Wszystkie wieże w Krainie Wiatru były bowiem wyposażone w głęboki centralny szyb o dwójakiej funkcji: zapewniał on lepsze oświetlenie przestrzeni miejskich, stanowiąc jednocześnie niewielki obszar uprawny, mieszczący ogródki i sady.

Następnie Nihal pewnie weszła w jeden z bocznych zaułków i otworzyła stare, pokryte pleśnią drzwi. Za nimi panował głęboki mrok.

– No to jesteśmy. – Dziewczynka przybrała uroczysty wyraz twarzy. – Od tej chwili żadnego strachu, jak zawsze. Nasze szcżytne zadanie nie pozwala nam na wahania.

Pozostali przytaknęli poważnie, a następnie, czołgając się, wsunęli się w chodnik.

Nic nie było widać. Nawet powietrze było gęste, stojące, prześycone stęchlizną. Jednak po pewnym czasie przyzwyczyły się do ciemności i można było dostrzec ginące w mroku schody o wilgotnych i nierównych stopniach.

– Nikt nie będzie tędy dzisiaj przechodził? Słyszałem, że zachodni mur ma pęknięcia, które trzeba naprawić... – zaczął jeden z chłopców.

– Już przechodzili – odpowiedziała Nihal. – Dobry dowódca przewiduje i takie rzeczy. A teraz dość gadania, bierzmy się do roboty!

Ich kroki jeszcze przez chwilę rozbrzmiewały w owej wykutej przestrzeni, mieszając się z głosami po drugiej stronie muru. Po-tem, po kolejnym zakręcie – cisza.

– Jesteśmy na miejscu – szepnęła Nihal, łapiąc oddech. Zawsze tak było przed samym atakiem: serce mocno waliło jej w piersi, krew pulsowała w skroniach. Lubiła tę mieszkankę strachu i prag-nienia walki. Jej palce pobiegły po ścianie, aż znalazły drewniane drzwiczki. Przyłożyła ucho do muru. Kwadratowe kamienie były grube, ale i tak mogła usłyszeć głosy dzieci z drugiej strony.

– Zawsze my. Już mam dosyć bycia Famminem.

– I komu to mówisz! Ostatnim razem Nihal strasznie mi do-łożyła.

– Mnie złamała ząb...

– Kiedy Barod był wodzem, przynajmniej się wymienialiśmy.

– Może i tak, ale ja z Nihal bawię się o wiele lepiej. Do licha, kiedy walczymy, wydaje się, że to naprawdę! Czuję w sobie coś takiego... to jak być żołnierzem!

– Tak czy inaczej, to ona jest najsilniejsza, więc powinna do-wodzić.

Nihal oderwała ucho od ściany i bezszelestnie wydobyla miecz z pochwy. Jeszcze chwila oczekiwania, po czym jednym kopnię-ciem wywalila drzwi i razem ze swoją grupą wtargnęła, wrzeszcząc dziko.

Pomieszczenie było obszerne i strasznie zakurzone, a zamiast firanek u okien wisiały wielkie pajęczyny. Opuszczony dom bo-gaczy, jak wszystkie lokale na tym piętrze. Na ziemi siedziało sześciu chłopców trzymających w dłoniach drewniane topory. Chociaż atak ich zaskoczył, podnieśli się raptownie i zaczęła się walka.

Nihal była jak furia: gwałtownie rzucała się na nieprzyjaciół, a jej miecz poruszał się w tę i w tamtą jak oszalały. W wirze walki

zawodnicy przemieszczali się z pokoju do pokoju, przemierzając całe mieszkanie, aż do zewnętrznego korytarza.

Chłopcy z toporkami wyraźnie przegrywali. Zaczęły dobiegać różne „auć!” tych, którzy obrywali zbyt mocno.

– Odwrót! – wrzasnęła wódz Famminów. Ci, którzy jeszcze byli cali, pobiegli w kierunku schodów.

– Za nimi! – krzyknęła Nihal i już miała się rzucić w pogoń za uciekinierami, kiedy chłopak z jej bandy złapał ją za ramię.

– Nihal, na dół do sklepów nie! Jeśli mój ojciec znowu mnie tam przyłapie jak rozrabiam, zatłucze mnie na śmierć.

Nihal wyrwała się.

– Wcale nie będziemy rozrabiać, pobiegniemy za nimi, a potem przetniemy centralne pola.

– No tak, z deszczu pod rynnę... – mruknął do siebie chłopiec, ale nie miał innego wyjścia, jak tylko pobiec za swoim wodcą.

Wszyscy rzucili się w dół po schodach, a potem pędem, jak zgraja opętańców, z bronią w garści, w kierunku piętra kupieckiego. Wiele sklepików od strony ulicy miało po prostu drzwi wejściowe i małą witrynę z wystawionym towarem, ale inne, zwłaszcza te, gdzie sprzedawano jarzyny i owoce, zajmowały część korytarza stoiskami i koszami. Pochłonięta pościgiem grupka wpadła właśnie na jeden z owych straganów, przewracając kilku niczego niespodziewających się stałych klientów.

– Przekłęci narwańcy! – wrzasnął sprzedawca, kipiąc z wściekłości. – Nihal, tym razem twój ojciec się o tym dowie!

Ale Nihal dalej gnała za zbiegami. Biegnąc tak z mieczem w dłoni, czuła się żywa i silna. Niektórzy z jej ludzi już złapali Famminów. Pozostawało tylko schwytać ich wodza.

– Ja się nim zajmę! – krzyknęła do swej armii, a następnie zmusiła nogi do dodatkowego wysiłku. Przyspieszyła i zaczęła deptać swojemu nieprzyjacielowi po piętach. Chłopiec prawie czuł jej oddech na karku. Rzucił się na schody, lecz spadł z impetem dwa piętra w dół. Podniósł się obolały, sprawdził, czy jest na właściwym poziomie, po czym wyskoczył przez okno.

Nihal wychyliła się: zeszli tak nisko, że pod nimi były już tylko stajnie. Jej ofiara przycupnęła u stóp okna, pośrodku jednego z warzywników centralnego ogrodu wieży. Zeskoczyła bez lęku, wylądowała na nogach i z wycelowanym mieczem rzuciła się na wroga, który już podniósł obie ręce.

– Poddaję się – powiedział zdyszany.

Nihal podeszła do niego.

– Gratuluję, Barod. Jesteś coraz szybszy!

– Jasne. Mając ciebie na karku...

– Skaleczyłeś się?

Barod obejrzał swoje obtarte kolana.

– Nie umiem skakać tak zwinnie jak ty. Tak czy owak następnym razem niech ktoś inny będzie wodzem Famminów, ja już mam dosyć: narobiłaś mi więcej siniaków...

Jakiś rozwścieczony głos brutalnie przerwał śmiech Nihal.

– To znowu ty! Do kroćset, mam już tego dość!

– O-o! To Baar! – zaniepokoiła się Nihal. Pomogła Barodowi wstać i pobiegli między główkami sałaty.

– Nie macie co uciekać, i tak wiem, kim jesteście! – głos nie przestawał krzyczeć.

Kiedy dobiegli do końca ogrodu, Nihal zwróciła się do przyjaciela:

– Słuchaj, ty idź do domu. Ja się nim zajmę.

Barod nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać.

Nihal natomiast przywołała cały arsenał swoich sztuczek i poczeekała na przybycie wieśniaka, bezzębnego staruszka, którego wściekłość była tak wszechogarniająca, że tryskała z każdej jego zmarszczki.

– Już zapowiedziałem twojemu ojcu, że jeśli jeszcze raz cię tu przyłapię, będzie musiał zapłacić mi za szkody! Dzisiaj trzy główki sałaty, wczoraj cukinie... Nie mówiąc już o tych wszystkich jabłkach, które mi ukradłaś!

Nihal przybrała skruszony wyraz twarzy.

– Baar, tym razem jestem niewinna! Po prostu mój przyjaciel wypadł z tamtego okna, widzisz, o tam... Ja tylko zeszedłam, żeby mu pomóc.



– Od niepamiętnych czasów twoi przyjaciele spadają do mojego ogródka, a ty przychodzisz im pomagać! Jeśli macie nogi jak z galarety, trzymajcie się z dala od okien!

Nihal przytaknęła z miną pełną skruchy.

– Masz rację, przepraszam. To się już nigdy więcej nie powtórzy.

Następnie spojrzała na Baara z tak anielskim wyrazem twarzy, że wieśniak całkiem dał się na to złapać.

– No już dobrze, znikaj. Ale powiedz Livonowi, że będzie go to kosztować kolejne ostrzenie moich sierpów.

– No pewnie!

Dziewczynka cmoknęła w powietrze i wzięła nogi za pas tak szybko, jak potrafiła.

Livon mieszkał na piętrze kupieckim, zaraz nad stajniami i wejściem do Salazaru: ciężkimi, wysokimi ponad dziesięć łokci drewnianymi wrotami o dwóch skrzydłach z wielkimi żelaznymi okuciami po bokach i szerokimi zawiasami. Na zużyтым drewnie można było jeszcze dostrzec ślady płaskorzeźb wykonanych w odległej przeszłości. Postacie jednak były bardzo niewyraźne i poza kilkoma jeźdźcami i smokami nic więcej nie dało się tam rozróżnić.

Podobnie jak dla wielu kupców, również i dla Livona dom i warsztat stanowiły jedno: w ten sposób oszczędzało się czas, a także pieniądze na ewentualny czynsz. Jedyne mankament stanowił lekki bałagan, uwydatniony przez brak kobiecej obecności godnej tego miana. W dodatku Livon zajmował się płatnerstwem: dom był pełen narzędzi, broni, bloków metalu i kawałków węgla.

Nihal z rozmachem otworzyła drzwi.

– Wróciłam! – zawołała głośno. – I jestem głodna!

Jej słowa pochłonął panujący huk. W kącie pomieszczenia Livon wielkim młotem walił w rozpalony kawałek metalu, a tysiące iskier odrywały się od stali i kaskadą opadały na podłogę. Był to potężny mężczyzna, cały pokryty sadzą, z kruczoczną czupry-

ną na głowie. Tylko oczy połyskiwały na tej twarzy, która wydawała się kawałkiem węgla.

– Stary! – wrzasnęła Nihal, ile sił w płucach.

– Ach, to ty... – rzucił Livon, ocierając sobie pot z czoła. – Nie przychodziłaś, więc zabrałem się do kończenia czegoś na jutro.

– To znaczy, że nic nie przygotowałaś?

– A nie ustaliliśmy, że raz w tygodniu ty gotujesz?

– No tak, ale... taka jestem zmęczona!

– Czekaj, czekaj. Nic mi nie mów. Założę się, że jak zwykle bawiłaś się z tymi szaleńcami.

Milczenie.

– I jak zwykle na piętrze porzuconych domów.

Dalej milczenie.

– I być może po raz kolejny skończyliście na polu Baara...

Milczenie stało się pełne winy. Nihal otworzyła spiżarnię i wzięła sobie jabłko.

– W każdym razie nie przejmuj się. Zjem sobie to – rzuciła, podskakując i umykając z zasięgu ramion Livona.

– Do diabła, Nihal! Ile razy ci mówiłem, żebyś nie chodziła się bawić do centralnych ogrodów? Ja tutaj nie mogę się opędzić od ludzi, którzy przychodzą się skarżyć i prosić o darmowe naprawy!

Nihal usiadła ze skruszoną miną.

– No tak, ale kiedy się walczy...

Livon prychnął zniecierpliwiony i zaczął kroić wyciągnięte ze spiżarni warzywa.

– Nie opowiadaj mi takich bzdur! Jak chcesz się bawić, to się baw. Tylko nikomu nie przeszkadzaj!

Nihal podniosła oczy do nieba: zawsze ta sama śpiewka...

– Przestań biadolić, Stary...

Mężczyzna rzucił jej złe spojrzenie.

– A nie mogłabyś od czasu do czasu nazwać mnie tatusiem?

Na usta Nihal wypłynął szelmowski uśmiezek.

– No już dobrze, tato! Przecież wiem, że jesteś zadowolony, że dobrze sobie radzę z mieczem...

Livon postawił przed nią szorstko talerz surowych jarzyn.

– To jest obiad?

– To jedzą panienki, które uparcie zachowują się jak chłopaczyska. Gdybyś dotrzymała słowa i sama coś ugotowała, mielibyśmy teraz na stole coś ciepłego.

Usiadł i sam też zaczął jeść. Przez jakiś czas przeżuwał w zamysleniu, po czym podjął:

– A w każdym razie nie, nie jestem zadowolony!

Nihal zaśmiała się do siebie. Livon wytrzymał jeszcze chwilę, po czym też wybuchnął śmiechem.

– No dobrze! Masz rację. Uwielbiam cię taką, jaka jesteś, ale inni... masz już trzynaście lat... no wiesz, kobiety wcześniej czy później muszą wyjść za mąż!

– A kto tak powiedział? Zamknąć się w domu i robić na drutach? Ja? Nie mam najmniejszego zamiaru! Ja chcę być wojownikiem!

– Nie ma kobiet wojowników – powiedział Livon, ale jego głos zdradzał źle skrywaną dumę.

– To znaczy, że będę pierwsza.

Livon uśmiechnął się i zmierzwił dłonią włosy córki.

– Jesteś po prostu okropna! Ja tylko czasami myślę, że jednak przydałaby ci się matka...

– To nie twoja wina, że mama umarła – powiedziała z prostotą Nihal.

– Nie – przyznał Livon, rumieniąc się. – Nie.

Nad postacią żony Livona unosiła się zasłona najmroczniejszej tajemnicy. Nihal szybko zorientowała się, że wszyscy w Salazarze mieli tatę i mamę, a ona tylko tatę. Jeszcze jako mała dziewczynka zaczęła zadawać pytania, na które Livon odpowiadał w sposób mglisty i niejasny. Mama umarła; nie sposób było się dowiedzieć, jak ani kiedy. Ale jaka była? Piękna. Tak, ale jak wyglądała? Tak jak ty, fioletowe oczy i granatowe włosy. Za każdym razem, kiedy temat ów powracał, Livon był wyraźnie zmieszany i Nihal z czasem nauczyła się takich rozmów unikać.

– Zawsze mi mówiłeś, że chcesz, żebym wyrosła na silną osobę, żebym podążała za swoimi pragnieniami... Staram się tak robić.

Jeśli chodziło o córkę, Livon miał miękkie serce: na te słowa łzy napłynęły mu do oczu.

– Chodź tutaj – powiedział i przytulił ją tak mocno, że aż zabolalo.

– Udusisz mnie, Stary...

Nihal próbowała się wyrwać, ale tak naprawdę rozkoszowała się tym uściskiem bardziej niż chciała to okazać.

Popołudnie poświęcili na swoje zwykłe zajęcie: wykuwanie broni.

Livon był nie tylko najlepszym płatnerzem na świecie znanym i prawdopodobnie również na tym nieznanym: był prawdziwym artystą. Jego miecze były niezwykle, ich uroda tak jaśniejąca, że zapierała dech w piersiach. Potrafiły dostosowywać się do właściciela i uwydatniać jego umiejętności.

Wykonywał włócznie zaostrzone niczym kolce i tnące jak brzytwy, ozdobione wijącymi się ornamentami, które nie obciążały ich linii jako nieprzydatne błyskotki, lecz podkreślały ich rysunek. Livon był w stanie połączyć maksimum funkcjonalności ze wspianą elegancją. Swoje wyroby traktował jak dzieci, uważał je za swoje stworzenia i jako takie je kochał. Uwielbiał tę pracę, ponieważ pozwalała mu na wyrażanie własnej inwencji twórczej, która wydawała się niewyczerpana, a jednocześnie ekscytowało go wystawianie na próbę swoich umiejętności technicznych.

Każda nowa broń była wyzwaniem dla jego rzemieślniczej biegłości, tak więc za każdym razem próbował przeprowadzać śmiało eksperymenty, używał nowych materiałów, szukał coraz bardziej złożonych form i łączył je z coraz bardziej skomplikowanymi rozwiązaniami technicznymi.

Sława Livona była tak wielka, że nigdy nie brakowało mu pracy i od zawsze, trochę z konieczności, a trochę z czystej przyjem-

ności, pozwalał Nihal, aby mu pomagała. Kiedy ona podawała mu młot lub obsługiwała miech, on obdarowywał ją perłami mądrości wojowników.

– Broń to nie tylko przedmiot: dla wojownika miecz jest jak kończyzna, jest jego wierną i nieodłączną towarzyszką. To jego miecz i nie zamieniłby go na żaden inny na świecie. A dla płatnerza jest jak dziecko: tak jak natura daje życie istotom z tego świata, tak płatnerz z ognia i żelaza wykuwa ostrze – mówił Livon i okraszał swoją wypowiedź głośnym śmiechem.

Nie należało się więc dziwić, że przy ojcu żyjącym dla mieczy i mającym wśród swoich stałych klientów żołnierzy, jeźdźców i poszukiwaczy przygód, Nihal wyrosła tak zbuntowana i mało kobieca.

Byli zajęci pracą nad jednym z mieczy, kiedy Nihal wyskoczyła z odwiecznym pytaniem.

– Stary?

– Mhmm...

Livon opuścił młot na ostrze.

– Chciałam się zapytać...

Kolejne uderzenie.

Nihal przyjęła niewinny i roztargniony wyraz twarzy.

– No to kiedy dasz mi prawdziwy miecz?

Młot Livona zawisł w powietrzu. Rozległo się westchnienie, po czym mężczyzna wrócił do kucia stali.

– Trzymaj te szcypce nieruchomo.

– Nie zmieniaj tematu – nalegała Nihal.

– Jesteś za mała.

– Ach, tak? Ale nie jestem za mała, żeby szukać sobie męża!

Livon odłożył młot i opadł zrezygnowany na krzesło.

– Nihal, już o tym rozmawialiśmy. Miecz to nie jest zabawka.

– Wiem o tym doskonale i wiem też, jak się nim posługiwać, o wiele lepiej niż wszyscy chłopcy w tym mieście!

Livon westchnął. Często myślał, żeby podarować Nihal jeden ze swoich mieczy, ale zawsze hamował go lęk, że może zrobić

sobie jakąś krzywdę. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że z drewnianym mieczem Nihal potrafi wyczyniać cuda i że niejednokrotnie miała w dłoni prawdziwe miecze, udowadnia, że dobrze zna i wiążące się z nimi ryzyko, i możliwości.

Nihal dostrzegła to niezdecydowanie ojca i przypuściła kolejny atak.

– No więc, Stary? Co?

Livon rozejrzał się dookoła.

– Zobaczymy – rzucił tajemniczo. Podniósł się i podszedł do półek, na których trzymał swoje najlepsze dzieła, te, które wykonywał bez żadnego zamówienia, tylko dla siebie samego. Wziął jeden ze sztyletów i pokazał go Nihal.

– Ten zrobiłem parę miesięcy temu...

Była to piękna broń: rękojeść tworzyła pień drzewa, z korzeniami na jednym końcu i dwiema powykręcanyimi gałęziami wystającymi z drugiego końca i rozszerzającymi się na zewnątrz. Inne gałązki skręcały się jeszcze przez jakiś czas, dopóki nie zwały się z ostrzem.

Oczy Nihal zabłyśły.

– Jest mój?

– Będzie twój, jeśli mnie pokonasz. Ale jeśli to ja wygram, gotujesz i sprzątasz przez miesiąc.

– Zgoda! Ale ty jesteś dorosły i wielki, a ja jestem tylko małą dziewczynką, nie? Sam zawsze tak mówisz! Więc żeby wyrównać szanse, będziesz musiał ograniczyć się do tych trzech belek w podłodze.

Livon zachichotał.

– Uważam, że tak będzie sprawiedliwie.

– No to daj mi miecz – zażądała Nihal, podekscytowana na samą myśl o położeniu dłoni na stali.

– Nie ma mowy! To ja wezmę drewno.

Ustawili się oboje na środku sali – Nihal ze swoim drewnianym mieczem w garści, a Livon z kijem.

– Gotowa?

– No jasne!

Zaczęła się walka.

Nihal nie była obdarzona wielką wytrzymałością, a jej technika w żadnym wypadku nie była bez zarzutu, ale braki te pokrywała intuicją i wyobraźnią. Odpierała każdy atak i robiła skuteczne uniki, wybierała odpowiedni czas na ofensywę i skakała w prawo i w lewo z wielką zwinnością. W tym tkwiła cała jej przewaga i doskonale o tym wiedziała.

Nagle Livon poczuł, że przepełnia go duma z tego chłopaczyśka o granatowych warkoczach. Drewniany kij wymknął mu się z dłoni i uderzył w stos włóczni opartych w kącie.

Nihal przyłożyła mu swoją broń do gardła.

– Co robisz, Stary? Potykasz się na takich podstawach? Tak pozwolić się rozbroić małej dziewczynce...

Livon odsunął drewniany miecz, wziął sztylet i podał go córce.

– Trzymaj, zasłużyłaś sobie na niego.

Nihal długo obracała sztylet w dłoniach, ważąc go i próbując jego ostrze na palcu, starając się ukryć, że szaleje z radości. Jej pierwsza broń!

– Ale pamiętaj: nigdy nie przechwalaj się przed pokonanym nieprzyjacielem. To w fatalnym guście.

Nihal popatrzyła na ojca chytrze.

– Dziękuję, Stary.

Była już dość doświadczona, żeby wiedzieć, kiedy ktoś pozwalał jej wygrać.